

Bryan Caplan

## **Edukacja pod lupą**

Dlaczego współczesny system szkolnictwa  
to strata czasu i pieniędzy

Przekład:  
Katarzyna Jopek

Fijok PUBLISHING

## Wstęp

---

Każdy może mieć rozum. To dość pośledni towar. Każda małoduszna istota, która pełza po ziemi, pływa w naszych morzach, ma rozum. Tam, skąd pochodzę, mamy uniwersytety – ludzie uczęszczają do nich, by stać się wielkimi myślicielami. Kiedy kończą naukę, mają głębokie myśli, ale nie więcej rozumu niż ty. Mają natomiast coś, czego ty nie masz – dyplom.

*Czarnoksiężnik z Krainy Oz, 1939*

Chodzę do szkoły nieprzerwanie od ponad czterdziestu lat. Począwszy od przedszkola, przez szkołę podstawową, gimnazjum i szkołę średnią, po studia licencjackie na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley i czteroletnie studia doktorskie w Princeton. Następny krok można określić jako moją pierwszą „prawdziwą pracę” – to posada wykładowcy ekonomii na Uniwersytecie im. George’a Masona. Dziś, dwadzieścia lat później, nadal zajmuję to samo stanowisko. Można powiedzieć, że jesienią tego roku\* pójdę do czterdziestej pierwszej klasy.

W systemie szkolnictwa żyje mi się dobrze, a nawet bardzo dobrze. Wymarzoną pracę mam zagwarantowaną na całe życie. Oczekuje się ode mnie prowadzenia pięciu godzin zajęć tygodniowo przez trzydzieści tygodni w roku. W przeciwieństwie do wielu wykładowców uwielbiam nauczać, lecz nawet gdybym tego nienawidził, sto pięćdziesiąt godzin rocznie dałoby się wytrzymać. Pozostały czas spędzam na rozmyślaniach, czytaniu i pisaniu na dowolny temat, jaki mnie w danym momencie interesuje. Oficjalnie nazywa się to „badaniami”. Moja pensja nie czyni mnie bogatym, ale nie zamieniłbym się miejscami nawet z Billem Gatesem. Wszystko, czego chcę od życia, mam już teraz, więc jego miliardy nie są mi do niczego potrzebne. A gotów byłbym się założyć, że nawet na emeryturze Gates zazdrości mi braku zmartwień i spokoju ducha.

---

\* W oryginale książka ukazała się na początku 2018 roku (przyp. tłum.).

Jak widać, nie mam osobistych powodów, by krytykować nasz system szkolnictwa – wręcz przeciwnie. Jednak całe życie gromadzenia doświadczeń oraz ćwierć wieku czytania i namysłu przekonują mnie, że ów system to wielka strata czasu i pieniędzy. Niemal wszyscy politycy obiecują zwiększanie wydatków na szkolnictwo. Słyszając to, jako człowiek z branży wzdycham tylko, kręcąc głową, i myślę: „Dlaczego? Chcecie, żebyśmy marnowali jeszcze więcej pieniędzy?”

Większość krytyków obecnego systemu szkolnictwa narzeka, że nie wydajemy przeznaczanych na niego funduszy we właściwy sposób lub że przebrani za nauczycieli ideolodzy zwodzą naszą młodzież<sup>1</sup>. Choć częściowo podzielam ich zarzuty, krytycy ci nie dostrzegają tego, co ja uważam za najważniejszy defekt naszego systemu edukacji – jest jej po prostu zdecydowanie za dużo. Typowy uczeń przez tysiące godzin ślęczy nad materiałami, które ani nie podnoszą jego produktywności, ani nie wzbogacają jego życia. Nie muszę dodawać, że aby uczniowie mogli właściwie marnować czas, potrzebują ekspertów, którzy nauczą ich, jak się to robi.

Rzecz jasna, czasem w szkołach uczy się ogólnie przydatnych umiejętności – w szczególności czytania, pisania i liczenia. Szkoły średnie często mają w programach nauczania opcjonalne przedmioty zawodowe, takie jak mechanika samochodowa, programowanie komputerowe czy stolarstwo. Większość szkół wyższych oferuje kierunki „z przyszłością” – inżynierię, informatykę, przygotowanie do medycyny. Co jednak ze wszystkimi pozostałymi kierunkami?

Pomyśl o wszystkich zajęciach, na których kiedykolwiek byłeś. Ile z nich nie dało ci żadnej przydatnej umiejętności? Lekcje, które w dorosłym życiu nigdy ci się nie przydadzą, zaczynają się już w przedszkolu. W szkołach podstawowych uczą się nie tylko czytania, pisania i arytmetyki – realizowane w nich programy nauczania obejmują również historię, przedmioty humanistyczne, muzykę, sztukę i wychowanie fizyczne. W szkołach średnich dochodzą do tego bardziej zaawansowana matematyka, literatura klasyczna i języki obce – przydatne dla garści początkujących naukowców, pisarzy i tłumaczy, lecz zbędne dla wszystkich pozostałych\*. Na większości kierunków studiów wyższych nikt nawet nie próbuje udawać, że uczą się tam umiejętności przydatnych w pracy zawodowej. Jeśli wykorzystujesz w praktyce swą znajomość historii starożytnego

---

\* Należy mieć na uwadze, że autor, podważając sensowność nauki języków obcych, pisze z perspektywy osoby posługującej się językiem angielskim, która „najpopularniejszy” język świata już opanowała (przyp. red.).

Rzymu, dzieł Szekspira, analizy rzeczywistej i filozofii umysłu, prawdopodobnie pracujesz w jakimś dziwnym zawodzie.

Możesz próbować bronić tej rzekomo „bezużytecznej” nauki na gruncie humanistycznym. Nauczyciele zwykle twierdzą, że ich wykłady wzbogacają życie uczniów i poszerzają ich horyzonty. Jako wykładowca nie tylko sympatyzuję z tymi argumentami – sam takiego wzbogacenia doświadczyłem. Wspaniałe idee uatrakcyjniły moje życie i ten sam dar próbuję przekazywać dalej. Jednak aby skutecznie bronić edukacji, nie wystarczą same odwołania do humanistycznych ideałów – trzeba jeszcze zapytać, jak często akademicy z powodzeniem poszerzają horyzonty swoich uczniów. A odpowiedź nie napawa optymizmem – co prawda wybitnym nauczycielom udaje się czynić z uczniów miłośników Szekspira, zapalonych badaczy wojny secesyjnej, awangardowych artystów i zapamiętałych skrzypków, lecz zdarza się to niezwykle rzadko. Pomimo szczerých wysiłków nauczycieli większość młodych ludzi uważa kulturę wysoką za nudną – i niewielu zmienia zdanie po wkroczeniu w dorosłość.

Nauka nie musi być użyteczna. Nie musi też być inspirująca. Jednak kiedy nie jest ani użyteczna, ani inspirująca, jak nie nazwać jej marnotrawstwem?

## Sygnalizowanie – dlaczego rynek płaci ci za zabijanie czasu?

Zadawanie takich pytań w kontekście naszego uświęconego systemu szkolnictwa wyzwała chór obiekcji, najbardziej irytujący jest jednak sprzeciw moich kolegów ekonomistów. Jak można nazywać edukację marnotrawstwem w czasach, gdy płynące z niej finansowe korzyści osiągają rekordowy poziom? Premia do wynagrodzenia, którą cieszą się absolwenci studiów wyższych, przekracza dziś 70%. Nawet ukończenie szkoły średniej dodaje do przyszłej pensji solidne 30%<sup>2</sup>. Jeśli wykształcenie naprawdę nie przekłada się na wyższą produktywność pracowników, dlaczego pracodawcy tak rozrzutnie licytują się o wykształconą siłę roboczą?

W dalszej części tej książki wyjaśnię, dlaczego wspomniane premie za wykształcenie są znacznie przeszacowane. Na tę chwilę założmy jednak, że liczby te pokrywają się z rzeczywistością. Jak to możliwe, by tak lukratywna inwestycja była marnotrawstwem? Odpowiedź zawiera się w pojedynczym słowie, które zamierzam wbić ci do głowy: sygnalizowanie. Nawet jeżeli wszystko to, czego uczeń nauczył się w szkole, jest kompletnie nieprzydatne, pracodawcy chętnie zaoferują mu wyższą pensję, kierując się tym,

co jego osiągnięcia naukowe mówią o jego produktywności. Załóżmy, że twoja kancelaria prawnicza szuka stażysty. O pracę stara się student prawa z tytułem doktora filozofii uzyskanym na Uniwersytecie Stanforda. Co możesz z tego wywnioskować? Aplikant prawdopodobnie jest bystry, sumienny i skłonny wykonywać nudną pracę. Jeśli poszukujesz pracownika o takich cechach (a który pracodawca takich nie szuka?), złożysz mu szczerą ofertę – zrobisz to, wiedząc doskonale, że nic, czego ten młody człowiek nauczył się na studiach z filozofii, nie przyda mu się w pracy.

Nie bez powodu wyrabiamy sobie wstępną opinię o ludziach na podstawie ich wykształcenia. Dorobek edukacyjny wiele mówi o zdolnościach i charakterze danej osoby. Gdy słyszymy, że ktoś w ciągu trzech lat uzyskał tytuł licencjata w Instytucie Technologii w Massachusetts, myślimy: „geniusz”. Gdy komuś od dziesięciu lat nie udało się ukończyć studiów, bo do zaliczenia brakuje mu jednego kursu, myślimy: „obibok”. Gdy ktoś wyleciał z liceum, myślimy: „bystry to on nie jest”. A gdy ktoś wyleciał z liceum, ale zaraz potem śpiewajaco zdał egzamin GED\*, myślimy: „bystry, ale leniwy” lub „bystry, ale z problemami”.

Konkluzja jest następująca. Nawet jeśli dyplom faktycznie podniósł twoją wypłatę o 70%, nie dowodzi to, że twoje wykształcenie „uczyniło cię tym, kim jesteś”. Być może tym, kim jesteś dzisiaj, byłeś już w momencie, gdy po raz pierwszy postawiłeś nogę w szkole. Przejrzyj swój indeks i porównaj go z tym, czym rzeczywiście zajmowałeś się w dorosłym życiu. Sporą część zajęć mogłeś równie dobrze opuścić i nie spowodowałoby to żadnego uszczerbku dla twoich kompetencji zawodowych. Niestety, gdybyś próbował pominąć proces zdobywania wykształcenia i od razu przeskoczyć do pierwszej pracy, przekonując pracodawców, że co prawda mógłbyś bez problemu ukończyć studia, ale postanowiłeś sobie odpuścić, najprawdopodobniej żaden by ci nie uwierzył. Każdy może tak powiedzieć – ale nie każdy dostaje 70% premii do wynagrodzenia.

Aby uniknąć nieporozumień, chcę wyraźnie podkreślić, że w pewnym stopniu edukacja wyposaża nas w przydatne umiejętności – lub, jak mawiają ekonomiści, „buduje kapitał ludzki”. W końcu to w szkołach ludzie uczą się czytać, pisać i liczyć. Większość współczesnych zawodów wymaga tych umiejętności. Ja na przykład nauczyłem się na studiach

---

\* GED (General Educational Development) – zestaw testów z czterech przedmiotów przeprowadzanych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, których zaliczenie świadczy o opanowaniu umiejętności akademickich na poziomie szkoły średniej. Stanowi alternatywę dla dyplomu ukończenia szkoły średniej (przyp. tłum.).

statystyki, z czego korzystam na co dzień w swojej obecnej pracy. Gdy krytykuję w tej książce teorię edukacji jako źródła kapitału ludzkiego, nie zaprzeczam, że edukacja odpowiada za jakąś część kapitału ludzkiego. Sprzeciwiam się raczej czystej wersji tej teorii, według której właściwie wszelka edukacja przekłada się na umiejętności przydatne w karierze zawodowej, a umiejętności te są w zasadzie jedynym powodem, dla którego zdobyte wykształcenie przekłada się na korzyści na rynku pracy.

Analogicznie, gdy bronię teorii edukacji jako sygnalizowania, nie twierdzę, że wszelka edukacja sprowadza się do sygnalizowania, lecz że jest tak w przypadku jej znacznej części. Co rozumiem przez „znaczną część”? Po pierwsze, przynajmniej jedna trzecia czasu, jaki uczniowie spędzają w szkołach, to sygnalizowanie. Po drugie, sygnalizowanie odpowiada za przynajmniej jedną trzecią ich późniejszego finansowego wynagrodzenia.

Osobiście uważam, że w rzeczywistości część ta przekracza 50% i prawdopodobnie sięga nawet 80%. Przekonanie to znajduje odzwierciedlenie w mojej retoryce. Niemniej jednak w kolejnych częściach książki pokażę, że nawet jeśli udział sygnalizowania w naszym systemie kształcenia wynosi jedynie jedną trzecią, nie zmienia to faktu, że system ten marnuje niesamowite ilości czasu i pieniędzy. A gdy zastanowisz się nad swoimi własnymi doświadczeniami z czasów szkoły, studiów i pracy, nie będziesz mógł z przekonaniem utrzymywać, że udział sygnalizowania był w nich niższy.

Trzeba przyznać, że mało kto otwarcie deklaruje się jako „zwolennik czystej teorii kapitału ludzkiego”, niemniej jednak jest to stanowisko domyślne, droga najmniejszego oporu. Czystą wersję teorii kapitału ludzkiego widzimy zawsze, gdy politycy czy eksperci nazywają fundusze przeznaczane na szkolnictwo „inwestycją w ludzi”, nie zająkując się nawet o tym, że edukacja może być w istocie czymś innym. Widzimy ją zawsze, gdy socjologowie mierzą wpływ wykształcenia na zarobki, a następnie przedstawiają go jako wpływ wykształcenia na umiejętności. Widzimy ją również zawsze, gdy nauczyciele lub rodzice swoje wypowiedzi na temat wagi edukacji kończą słowami: „Szkoła uczy dzieci tego, czego będą potrzebowały, gdy dorosną”.

Ktoś mógłby teraz zaprotestować: „No dobrze, może i system szkolnictwa wyposaża uczniów i studentów w niewiele przydatnych umiejętności, ale to jeszcze nie powód, by uznawać go za marnotrawstwo. Sam przecież przyznajesz, że pełni on przydatną funkcję – poświadcza jakość pracowników. To chyba ważne?”. A jakże. Lecz posłużywszy się tym argumentem, orędownik edukacji zapędził się w ślepią uliczkę. Jeśli wykształcenie jedynie poświadcza jakość pracowników, dla społeczeństwa byłoby

lepiej, gdyby poziomów wykształcenia było mniej. Pomyśl o tym tak. Dyplom ukończenia studiów wyższych plasuje cię w górnej jednej trzeciej pod względem osiągnięć akademickich, a zatem pracodawcy poszukujący pracowników z tego przedziału wymagają takiego dyplomu<sup>3</sup>. A teraz wyobraź sobie, że wszyscy mają o jeden dyplom mniej. W takim świecie pracodawcy, którzy potrzebowaliby pracownika z górnej jednej trzeciej, wymagaliby tylko dyplomu ukończenia szkoły średniej. Jakość pracowników byłaby poświadczana równie dokładnie jak teraz, lecz pozwoliłoby to oszczędzić na kosztach czterech lat nauki na osobę.

### Edukacja – prywatny zysk, społeczna strata

Czy w książce tej radzę, abys skrócił swoją edukację, gdyż i tak wiele się nie nauczysz? Absolutnie nie. Zgodnie z teorią sygnalizowania nawet znajomość rzeczy mało użytecznych robi wrażenie na pracodawcach i przekłada się na wyższe zarobki. Rezygnacja z edukacji na jej wczesnym etapie jest zatem jednoznaczna z dobrowolnym zajęciem w puli pracowników gorszego miejsca, co rynek pracy odpowiednio wyceni.

Z perspektywy jednostki edukacja się opłaca – co do tego standardowa teoria edukacji jako źródła kompetencji i mniej popularna teoria edukacji jako sygnalizowania się zgadzają. Nie ma jednak między nimi zgody co do skutków obniżenia średniego poziomu wykształcenia całego społeczeństwa. Przyjmując, że edukacja jest równoznaczna z budowaniem umiejętności, pociągnęłoby to za sobą spadek średniego poziomu umiejętności, zubożając świat. Natomiast jeśli edukacja to sygnalizowanie, spadek średniego poziomu wykształcenia nie obniżyłby ani naszych umiejętności, ani dobrobytu – wręcz przeciwnie, dzięki oszczędności wartościowych zasobów i czasu nasz dobrobyt nawet by wzrósł.

Założmy, że zgadzamy się co do tego, że spadek średniego poziomu wykształcenia byłby dla społeczeństwa korzystny. Czy to w ogóle osiągalne? Jak najbardziej. Państwo pręźnie wspiera system edukacji. W 2011 roku federalne, stanowe i lokalne władze wydały na niego niemal bilion dolarów<sup>4</sup>. Najprościej byłoby zatem odciąć subsydia. Nie wyeliminowałoby to, co prawda, marnotrawnego sygnalizowania, ale przynajmniej państwo przestałoby dolewać oliwy do ognia.

Większość ludzi przeraża myśl o obcięciu budżetu na szkolnictwo, gdyż powszechnie uznaje się, że dzięki edukacji wszyscy zyskują. Uważam,

że przerażenie to ma swoje źródło w czymś, co logicy nazywają błędem złożenia – przekonaniu, że jeśli coś jest prawdą w odniesieniu do części, jest też prawdą w odniesieniu do całości. Rozważmy klasyczny przykład. Jesteś na koncercie i chciałbyś lepiej widzieć scenę. Co możesz zrobić? Wstać. Z punktu widzenia jednostki zapewnia to lepszy widok. Ale co się stanie, gdy wszyscy zrobią to, co ty? Czy wszyscy mogą widzieć scenę lepiej, stojąc? Nie.

Źródłem powszechnego poparcia dla subsydiowania szkolnictwa jest właśnie błąd złożenia. Osoba, która przeszła więcej szczebli edukacji, znajduje lepszą pracę. Tak po prostu jest – widać to jak na dłoni. Nie wynika z tego jednak, że jeśli wszyscy będą lepiej wykształceni, to wszyscy znajdą lepszą pracę. Według teorii sygnalizowania subsydiowanie powszechnej edukacji w celu zapewnienia wszystkim lepszej pracy to to samo, co zachęcanie wszystkich uczestników koncertu do wstania z miejsc i cieszenia się lepszym widokiem na scenę. Oba te działania są korzystne dla jednostki, lecz nie dla ogółu<sup>5</sup>.

Mówiąc wprost, według teorii sygnalizowania sytuacja wszystkich byłaby lepsza, gdyby edukacja była droższa i trudniej dostępna. Gdyby subsydia zostały znacznie ograniczone, wielu ludzi nie byłoby stać na osiągnięcie poziomu wykształcenia, jaki obecnie planują zdobyć. Jeżeli mam rację, nie jest to jednak powód do zmartwień. Rynek pracy oczekuje od nas posiadania dobrego wykształcenia właśnie dlatego, że edukacja jest tak tania i łatwo dostępna. Bez subsydiów nie potrzebowalibyśmy wykształcenia, ponieważ nie byłoby nas na nie stać.

Ja sam uważam, że najlepszą polityką edukacyjną byłby brak jakiegokolwiek polityki edukacyjnej – rozdział szkolnictwa od państwa. Nie oznacza to jednak, że nie można zgadzać się co do sedna mojej argumentacji, nie podpisując się tym samym pod moim szalonym ekstremizmem. Można przyznać, że sygnalizowanie jest istotną składową wykształcenia, a jednocześnie popierać rządowe subsydia dla szkolnictwa. Jeśli dojdiesz do wniosku, że edukacja jedynie w jednej trzeciej sprowadza się do sygnalizowania, opowiesz się za znacznym obniżeniem subsydiów, ale nie za ich całkowitą eliminacją. Lecz jeśli tak jak ja uznasz, że edukacja w aż 80% stanowi sygnalizowanie, obcięcie budżetowego wsparcia to szaleństwo, w którym jest metoda. Tym bardziej, jeśli prawdą jest – jak przekonuję – że humanistyczne korzyści płynące z edukacji to zasadniczo pobożne życzenie.

Każdy, kto czyta tę książkę, niemal na pewno spędził w szkole ponad dekadę – na temat szkolnictwa posiada więc bogatą wiedzę z pierwszej



ręki. Przedstawiane tu argumenty nierzadko będą się do tej wiedzy odwoływać. Porównuj więc moje twierdzenia na temat prawdziwej natury edukacji ze swoimi własnymi doświadczeniami.

Nie oznacza to, że moja teza jest oczywista – w żadnym razie nie jest. Zasadniczo jednak nie mam na celu zmienić twojego zdania na temat suchych faktów. Będę raczej próbował zmienić twoje zdanie na temat interpretacji faktów, które są ci doskonale znane. Gdy na spokojnie przyjrzyj się własnym doświadczeniom z mojego punktu widzenia, istnieje spora szansa, że choć częściowo przyznasz mi rację.

Szkolnictwo to osobliwa branża, lecz nasza zażyłość z nią maskuje tę osobliwość. Dlatego mam zamiar rozbudzić w tobie zdumienie. Spójrzmy na standardowy program nauczania dla szkół średnich. Angielski to międzynarodowy język biznesu, a mimo to uczniowie spędzają lata, ucząc się hiszpańskiego, a nawet francuskiego. Niewiele zawodów wymaga zrozumienia matematyki wyższej, lecz 80% absolwentów musi przecierpieć naukę geometrii<sup>6</sup>. Uczniowie latami przerabiają historię, mimo iż jedyne osoby, które wykorzystują wiedzę o historii w swojej pracy zawodowej, są nauczyciele tego przedmiotu. Obligatoryjne zajęcia oraz kryteria ich zaliczania są tak niedostosowane do przyszłych potrzeb uczniów, że zapoznając się z nimi, człowiek przestaje dowierzać własnym oczom.

Akceptujemy to dziwaczne *curriculum* poniekąd dlatego, że zdążyliśmy do niego przywyknąć. Na głębszym poziomie akceptujemy jednak nasz system edukacji, ponieważ on „działa”. Im lepsze wykształcenie zdobędziemy, tym chętniej pracodawcy podwyższą nam wypłatę<sup>7</sup>. Czy potrzeba wiedzieć coś więcej?

Jeżeli zależy ci wyłącznie na własnych korzyściach, ta wiedza ci wystarczy. Idź do szkoły i dbaj o dobre oceny, a będziesz lepiej zarabiał – ta rada się sprawdza. Lecz jeśli chcesz wiedzieć, czy system szkolnictwa jest korzystny dla społeczeństwa jako całości, lub jeśli po prostu jesteś osobą, która lubi wiedzieć jak najwięcej, to, jak dziwacznych rzeczy uczy się w szkołach – oraz to, że pracodawcy dodatkowo wynagradzają swych pracowników za uczenie się tych dziwacznych rzeczy – powinno być dla ciebie istotną wskazówką. Otrzymawszy ją, osoba przyjmująca ortodoksyjny pogląd, według którego uczniowie chodzą do szkoły, by nabywać umiejętności przydatne w karierze zawodowej, może tylko wzruszyć ramionami. Teoria edukacji jako sygnalizowania wykorzystuje natomiast tę wskazówkę do rozwikłania wielkiej, a lekceważonej społecznej zagadki.